

Poniszszy artykuł Irzykowskiego wygłoszony był jako odczyt radiowy, stąd zawzięte zagadnienia poezji nowoczesnej, przedstawione są tu w formie bardzo popularnej. (Red.).

Kto w Warszawie często i niezbyt prędko chodzi ulicą Piękną, dziś Piusa XI, może zauważył cię kawą menażerję, która się mieści na zewnętrznym murze trzypiętrowej kamienicy pod l. 5, stojącej niedaleko naprzeciw gimnazjum żeńskiego. Jest to mur od ogrodu, ale widać go zdaleka; rudy od cegieł i cały obrośnięty różnym winogrodem, który wspina się po nim aż do samej góry gęstą siatką i stanowi naturalne osiedlenie dla miejskiego ptactwa. Ono tu pobudowało sobie gniazdzka wśród eżeczeln i pnączów, nie płacąc podatku mieszkaniowego, i w lecie od rana widać, jak cała ta wielościanna drga, trzepota się i świergocze, piszczy, ćwirka, gwizdzą, dzwięczy, śpiewa, — nieraz z siłą, która przygłusza ogólny hałas miejski i huk samochodów ciężarowych, toczących się ulicą. Śpiewają sobie ptaszęta (poprostu wróble) gwarnie, wesoło, baczeliwie; śpiewają swoje urbanistyczne piosenki, bez cenzury, jeden przez drugiego; może się naradza, może sobie plotki miejskie opowiadają, może flirt odchodzi, może się z sobą kłóć; może młode pokolenie wychowuje starsze, jak to bywa między ludźmi; może partje polityczne przekonują się wzajemnie, a może poprostu tylko wiecznie koncertują, zadowolone z siebie, od parteru aż do najwyższego piętra.

Ileko! tamtędy przechodzę, myślę sobie: to współczesna poezja polska! Taka liczna, taka gwarna, taka z siebie zadowolona, i tak, niestety, ignorowana przez publiczność. Dziesiątki małych tomików, w każdym ze dwadzieścia, trzydzieści utworów, wylatuje corocznie w obojętny świat, trzepocze się jakiś czas w powietrzu, odśpiewuje swoją nutę, czasem zadziwi lub zaniepokoi jakiego słuchacza, a częścię słuchaczek, ale jeżeli nie zwróci na siebie uwagi: zrędnego krytyka, — przepada gdzieś w nicości, to znaczy w magazynie księgarza i musi zniknąć, aby ustąpić miejsca nowej czeredzie śpiewaków, już opierzonej i wylatującej z gniazda.

Tomiki! tomiki! tomiki! Ładne, zgrabne; tak dużo białego papieru na marginesach, a w środku niewiele wierszy, śnać bardzo ważnych, skoro naokoło nich taka białosć — coś jak folwarczек wśród wielkiego krajobrazu zimowego. Wszak Państwo znacie te książeczki, mieliście je nieraz w rękach; możecie nawet czytać to i owo, z sympatją, z lekceważeniem, z westchnieniem do własnej, już sfilistrzałej duszy. Ci poeci dzielą się na grupy, klasy, szczepy, które się czasem buńczucznie nazywają. I pomówimy sobie tutaj o jednej takiej grupie, która się nazywa Awangarda.

Dlaczego Awangarda? Dlatego, że wybiega bardzo naprzód, kuje nowe środki poetyckie, a pogardza starami, ryzykuje niepowodzenie, oziębłość, nawet śmieśdność, i spodziwja się, że utworuje drogę, jeżeli nie sobie to innym, szczęśliwsiem, że wydobędzie nową muzykę z nowych instrumentów.

Głównymi poetami Awangardy są: Tadeusz Peiper, Julian Przybóś, Adam Ważyk, Jalu Kurek, Jan Brzokowski. Gdy się ich utworzy do ręki weźmie i zacznie czytać — no, to się zacznie, ale się nie skończy. Są trudne, nie można ich tak odrazu zrozumieć. Są jak szklane góry, bardzo kolorowe i błyszczące, — ale wdrapać się na te góry nie można, bo — jak się to mówi — niema o co zaciepić paznokci. Awangardziści wydają się spiszkowcami, jakby mieli jakieś swoje tajemnice, jakieś umówione szyfry, któremi się z sobą porozumiewają, ale niewtajemniczonymu trudno się tak odrazu dostać do wnętrza tych tajemnic. Trzeba mieć kłuz, trzeba się nauczyć te utwory czytać. I wtedy można z nich mieć przyjemność.

Wracając do naszego początkowego porównania z ptakami, powiemy, że trzeba być jak ten Zygryd z opery Wagnera. Zygryd wszedł w las pełen ptaków, którym chcieli coś powiedzieć, a

ich nie rozumiał. Dopiero gdy zabił smoka i krew smoka nań tryła, język ptaków stał się dlań dostępny — tu poproszę pana pianistę, żeby zagrał odpowiedni motyw! — i wdzięczne ptaki powiodły go do raju, bo do miejsca, gdzie spała uśpiona przez Wotaną cudna Brunhilda.

Otóż i my musimy być tym Zygfyrdem i 'zabić jakiegoś smoka. Jakiegożby tu? Ano tego smoka niechęci, uprzedzenia i lenistwa, który w nas drzemie. Czasem tego próbowałem i czasem też udawało mi się zakraść do tych

Miłosz Gembarski

Rozmowa

Nasz głos postawiony w
Nie ogarnie go żaden las
I wszechmocne światła ok
Nie obali, nie przejrzy na

Koleiny w lek
Cudzym ślader
Największemi
Leży równin

Jeśli wiemy, że niema prz
I skał niema, gdy cośkolwiek
To już, starcze, w ręce t
Wyrok, że czyn jest dob

A świadomość
Patrząc w zier
Gdzie Słowian
I sprzeciwi się

Tutaj, drogi rozszczępione
Starcze, może trza rozsta
Zanim paków wiśniowych
Na skroń naszą strzęsie l

Niedieptanem
Przez futrzęjs
Gdzie wybiegn
Oglupiały śmi

Nieme i przemarznęte z
Lecz w rubaszki jedwab
A towarzyszy twój — odci
Już nam nie towarzyszy,

Ozimy kosm
Rwanym sznu
Kłębów schlap
Zawiej stąpa v

Duszytracem czarńcom ci
Gdy się kopiem przez czy
Co jak wielka tratwa bez
Spływa kędys w przyrural

Czasem zerwie
Sił pancernych
I artyści krwi
Z oceanu ścier

W pancernika lodowego
Brat nasz pokrył białym
I rysuje, jak w białym k
Maszt, zawiany śniegiem

Żywo, starcze!
Nie opędzim s
I spuszczone z
Dokoluśko nag

Nie myśl za kim i czemu
Ciemny szum, lekki trzas
Jednym błyskiem, a nieję
Z tropu w tropy leci goń

Inne były kied
Sięgające w cz
Rozplynione n
Całem niebem,

Ty o swojej bolesnej prze
Naklonionym w życie sw
I o myśli, krzepnionej w
Najrodzinniej opowiedz n

Tak. Jest w ży
Potem, prawdy
A to wszystko
Nam jednego,

Powiedz, dziś, nad ojczyzn
Dawne, wielkie słowa... (S
Więć ramieniem, jeśli wie
Elektrowną piramidę spal

Choć upornie
O mistycznym
W pięknie — o
I cel sztuki wi

zadanych skarbów, w sposób jak
by przypadkowy, nielegalny. Al
się opłaciło. Weźmy utwór Julia
na Przybosisia p. t. „Lipiec”. Przy
boś jest poetą bardzo utalentowa
nym, mistrzem metafory i skró
tów. Jego utwory to jak tablicz
ki buljonu, takie są zgęszczone
Lecz my sobie to rozpuścimy tro
chę w wodzie. Otóż utwór „Li
piec” opisuje, jak po skończonej
nauce uczniowie rozjeżdżają się
na wakacje, żegnają profesora
poetę, a profesor wyjeżdża na
wieś, oddaje się widokom przyro
dy i odpocząwszy, pragnie prowa

ewski

owa z Lv

ysoko,
s.
ro
s.

ko zmarłej drodze,
m, nie prowadzą w dom.
wiorstami i w trwodze
odwalony złom.

ępaści,
wiek wiem —
woje naści:
rem lub złem.

źródliko przewidzi,
mi lożnicę, tu —
ię poczęci nie żydzi, —
zlu!

w widły.
ć się nam;
maidły
istny blam.

puspkowiem idziemy,
zają kwietnią ruń;
ie, w łąk wolne teremy,
eszny, chłopski kuń. —

agony.
kryjesz głos;
weń czerwony,
jak los.

yki się kurczą,
rkiem odsuwa się las,
łych mgłą obrazoburzą
wdali — objąć nas.

ęplo w nogi,
ścowy śnieg,
załogi
ski brzeg.

się masztem, kominem;
a grzmi niestrojna gra;
q: Wereszczaginem,
nnionego lka.

schronie,
żaglem stół
artonie,
w ćwierć... już wpół.

zadymkowej chustce,
ię, gdy wyje ćma,
e smyczy, w tej pustce,
onka po — szła!

ganiają.
k, spieszny świst.
dną stają,
czy list.

łyś gony nasze,
złowicieży cel,
ie po niskiej lasze —
nad topiel i chmiel.

emianie,
oim śnie,
spelnianie,
nnie. — ...

ciuci nasz ból niedowiarczy;
żalem kryta nać.
gdy życia nie starczy
żeby siebie dać.

ny twej głodem,
Szept i żal).
ecznie młodem,
!!

awabiłeś marzenie
pojęciu enót:
doskonałości wyższenie,
dząc, by wznieść lud.

Mówię tobie, ja sprze
Wszelkiej złości, aż p
że, wprost mnie, prze
Chrystus wskrzesi.

dzielić takie życie, jak Jan Kochanowski z Czarnolasu. A teraz przeczytamy sam utwór:
 Na świadectwach, wzbici w radość,
 jeszcze wiatr drży po ich śmigłym [włosie]
 [zniku].
 Wakacje, panie profesorze! Pora trzepać wesoło słowa, jak futra na oraz
 czasowniki przez lato odmieniać!
 (Tu odstęp i profesor już je dzie).
 Wóz przetoczył się zagnał —
 [i w łozinie zzieleniał].

Wiem To!

Prawdy się dowiedziało
 Na stacji Ostapowie, w
 Zadziwiony spojrzawsz k
 — „Tylu ludzi—wy, o

Niema ludzi
 Nie ostąpił t
 A człowiecze
 Nie obalą ni

Lud wie tylko, że my
 Ale jeszcze nie ogląda
 Kto wie jednak, może
 Dzisiaj nas wyda, na wag

Ot wyje, ha
 Jakby w cer
 Lecz na dro
 Nie wiem, cz

Duchotwórcy my — do
 Taką myślą schyleni, be
 Jednak dzisiaj żołniersk
 Sprzeciwimy się złu.

Przeciw tobie
 I choć twar
 Jako Jeźdźca
 Skacze grom

Choć już w moje ramio
 Metalicznym kopytem, g
 My w imieniu Chrysta
 Ostaliśmy bez rany i sk

Sprzeciwimy
 I wystarczy
 Gdy w torfo
 Za chłopami

Nawiazane są wąwozy
 Rzeki - liszki suną w b
 Jakby miota pendzlem t
 Leonarda artysty dłoń.

W krajobrazie
 Mknijmy ży
 Patrząc w cie
 Tyś odwrócił

A przed tobą piramida
 Elektrowni, z sztyków s
 Oplacony przez chłopak
 I ty rzucasz! w niego k

Pod wierzcho
 W stratosfer
 Wzdęty całun
 Zmarle, nim

A ja tobie mówię, patrz
 Że najgorsza właśnie ch
 Gdy już wiemy, jak los
 Jak wysnuje myśl, i dż

Gdy przewid
 I wypełniać
 A to wszystk
 Nie wystarczy

Więć do braci naszej id
 Za czerwono - zielony s
 Co podchodzi sam, cicho
 Już, kłoniący cień do n

Rozłamany w
 Już, gotowy
 Ręce kładzier
 Aby wnieść

Wyjrzałem za spojrze
 Czytelniku, powierzch
 I widzę! Jeszcze więcj
 I ciebie, Lwie Tolstoju,

Wysoko jest
 Ponad wiorst
 Tkwiąc w ma
 Poznajemy d

ciwiony
 o życia czecz,
 i wierz bujne trzo i—

Tylko pustki rozprysniętej w słotce
[— udar]
Skacząc z bryczki, zaoczę:
Bosonogi gęsiarek biegi, zacerpną
[ze źródła]
Znikł, jakgdyby on wybiegał
potoczek.
(Teraz profesor oddaje się życiu
sielskiemu):
Okolicę, serce wyniosie, przesywa
[naprzestrza]
strumień!
Lecz z pólógich pagórków —
[wahającą się odpowiedź —]
inne wzgórze — dalszą górę kołysz

stojem

ś: w ucieczce,
przedśnie;
steccze;
jednym Lwie?“
— albo jest za wielu.
łum i żaden las.
sądy, przyjacielu,
e przejrzą nas.
piwający,
słów.
ędzarcz drżący
głów.
łakuje wieś cała,
kwi klęknał wilecy polk.
dze, co nagle zniemiała.
y lepszy człowiek, czy wolk?
upadłego —
ez tehu;
i kolego,
e, Lwie dawny, z mogiły;
y Puszkina cień,
a Spiżowego bryły,
em w odmieniony dzień;
na się wpiera,
głaz...
bohatera!...
naz.
się złu, choć samotni.
nasza mocna gra.
wisk grzęz i w czar paprotni,
nagonka po — szła!
w węzeł;
ór i w błon;
yle przeseł
e takim, w niepokoju,
iem, i aż w ból. aż w łos.
bie, grafie Lwie Tolstoju,
się, i nagle wzrósł.
mleczy;
świetlnych ront,
i głód wilecy.
amień - lont.
olek, z którego wyleci,
ną czern, nad kopuł sklep
n, skrywający dzieci,
w chacie biały był chleb.
ąc w oczy,
wiła jest.
się potoczy,
święknie gest.
zić można losy własne,
tylko swoje dnie.
o, gdy życie za ciasne
y tobie ani mnie.
ziem silnie,
dup;
, przychylnie;
aszych stóp;
y dwa mocne ramiona;
— krzyżownie nas wziąć.
n na szorstkie bierwiona,
się, i cokolwiek bądź —
tych oczu, —
słów.
w otoczu;
znów.
na męce, i mądrze;
y szerokie tło.
artwego i żywego jądrze,
obro i zło

Jak ten skryty porwyw widoku i cizsze
szepcaniem pytaniami — wydac?
[zatulona w szumie]

Jakze w cieniu, pod lipa —
[przyslowiec?]

Tu koniec. Sprobuje niektora
trudniejsze ustepy wytumaczyc.
Zrobimy takie malenkie cwicz-
nie literackie.

(Tu znowu motyw z „Zygfrida”).

„Na swiadectwach odlecieli u-
czniowie”. Bardzo ladnie! Prze-
ciez sie mowi o czlowieku zacie-
trzewionym, ze jedzie na koniku
swojej doktryny, mowi sie o wzbu-
gaconym paskarku, ze wyjecha-
l na skorde, na dostawach. Wiga-
„na swiadectwach odlecieli uc-
niowie” bedzie zrozumiale. I za-
razem zauwazcie Panstwo to za-
gaszeczenie: skupia sie tu i mo-
ment otrzymania swiadectw,
moment odjazdu uczniow, i mo-
ment ich dumy, bo swiadectwa
sa spewnoscia znakomite. Wszy-
sko to zlaczone jest w fantastycz-
nem wyobrazeniu: „na swiade-
ctwach odlecieli” — tak, jak Du-
glas Fajerbanks, zlodziej z Bag-
dadu, lecial na dywanie.

Potem czytamy: „Pora trzepa-
wesoło słowa, jak futra na wios-
nę”. Znowu zagaszeczenie. Mów
się przecież: „trzepie językiem
trziota się”, gdy kto dużo i szyb-
ko gada, a taki jest właśnie jaz-
got rozjeżdżającej się młodzieży.
Ale tu „trzepać” użyte jest nie-
tylko w tym znaczeniu przenoś-
nem, powiedzmy: moralnem, —
lecz także w znaczeniu niemal
dosłownem. Słowa trzepie się, jak
futra na wiosnę — bo w atmosfe-
rze szkolnej te słowa niejako za-
trzęzły, zastygły, więc się je od-
świeża.

Trudne jest wyrażenie „czasow-
niki przez lato odmieniał”. Ale
czasowniki w szkole odmieniał
przez liczby i osoby (konjugacja)
rzecznicy odmieniał się przy-
padkami i liczbami (deklinacja)
— więc tutaj „czasowniki”, czyli
wogóle czynności, odmieniał
będzie przez „lato, przez dni let-
nie; słowo „odmienić” użyte
jest i w znaczeniu gramatycz-
nem i w znaczeniu moralnem, bo
to znaczy także, że cały sposób
życia podczas wakacyj się odmie-
nił.

Teraz śliczny, prawie wizyjny
obrazek: Bosy pastuszek, biegł,
napił się wody ze źródła, a po-
tem się gdzieś zgubił, i poeta mó-
wi: „jakgdyby on wybiegał poto-
czek”. Jak to należy rozumieć?
Otóż tak: poeta najprzód zob-
aczył pastuszką, a dopiero potem,
gdy pastuszek „znikł”, poeta zo-
baczył strumyk i to zrobiło na
nim takie wrażenie, jakgdyby pa-
stuszek zamienił się w strumyk,
„wybiegał go”, czyli obudził go
swoim biegiem. Czy może, że pa-
stuszek biegł brzegiem owego, w
pierwszej chwili niewidocznego
strumyka, w górę do źródła; tu
gdzieś przepadł, a poeta dopiero
teraz strumyk zobaczył, i w jego
wyobraźni skojarzyły się te dwa
odrębne fakty w związku przy-
czyny i skutku. Nie rozumiecie?
A przecież rozumiecie, co to zna-
czy, że kogut wybiera sobie, iż
on swoim pianiem budzi słońce.
Zarozumiały kogut posuwa się w
swoje pysze do takiej metafory;
mógłby powiedzieć: „ja wypie-
kam słońce”. A tutaj: pastuszek
wybiegał potoczek.

Nie mam już czasu, żeby Pań-
stwu jeszcze inne trudności tłu-
maczyć, i śpieszę już do końca.
Poeta, opojony widokiem stru-
mym, który nazywa sercem oko-
licy, tudzież widokiem łańcucha
pagórków, które wznoszą się na
horyzont, jakby kołysały się
wzajemnie lub jakby rozmawiały
ze sobą, — wpada w zadumę i
wylizcha: „Jakże w cieniu, pod
lipą — przysłówiec?” Otóż sław-
na jest lipa, pod którą Kochanow-
ski z Czarnołus odпочывał i pi-
sał wiersze, — ta lipa weszła w
przysłowie. Poeta, pan profesor,
marzy o takim życiu przynaj-
mniej na czas wakacji, i sądzi,
że wszyscy mu tego z serca życzy-
my.

Cały utwór — to świątne, świe-
że primawista wakacyjne, nie wa-
kacje całe, lecz pierwszy, radosny
ich akord — właśnie lipiec.

A tego pastuszką, który wybie-
gał potoczek, warto zapamiętać.

Miłosz Gembarzewski

Rozmowa z Lwem Tołstojem

Nasz głos postawiony wysoko,
Nie ogarnie go żaden las.
I wszechmocne światła oko
Nie obali, nie przejrzy nas.

Koleiny w lekko zmarzłej drodze,
Cudzym śladem, nie prowadzą w dom.
Największymi wiorstami i w trwodze
Leży równin odwalony złom.

Jeśli wiemy, że niema przepaści,
I skał niema, gdy cośkolwiek wiem —
To już, starcze, w ręce twoje naści:
Wyrok, że czyn jest dobrym lub złem.

A świadomość źródłisko przewidzi,
Patrząc w ziemi łożnicę, tu —
Gdzie! Słowianie poczęci nie żydzi, —
I sprzeciwi się złu!

Tutaj, drogi rozszczepione w widły.
Starcze, może trza rozstać się nam;
Zanim paków wiśniowych maidły
Na skroń nasza strzesie listny blam.

Niedeptanem pustkowiem idziemy,
Przez jutrzejszą kwitną ruń;
Gdzie wybiegnie, w łąk wolne teremy,
Oglupiały śmieszny, chłopski kuń. —

Nieme i przemarznęte zagony.
Lecz w rubaszki jedwab kryjesz głos;
A towarzyszy twój — odcień czerwony,
Już nam nie towarzyszy jak los.

Ozimyiny kosmyki się kurczą,
Rwanym sznurkiem odsuwa się las,
Kłębow schlapłych mgłą obrazoburczą
Zawiej stąpa wdali — objąć nas.

Duszotrącom czerniom ciepło w nogi,
Gdy się kopiem przez czyscowy śnieg
Co jak wielka tratwa bez załogi
Spływa kędvs w przyzurski brzeg.

Czasem zerwie się masztem, kominem;
Sił pancernych grzmi niestrojna gra;
I artyści krwią: Wereszczaginem,
Z oceanu ściemnionego łka.

W pancernika lodowego schronie,
Brat nasz pokrył białym żaglem stół
I rysuje, jak w białym kartonie,
Maszt, zawiany śniegiem w ćwierć... i

Żywo, starcze! zadymkowej chustce,
Nie opędzim się, gdy wyje ćma,
I spuszczone za smyczy, w tej pustce,
Dokolusko nagonka na — szła!

Nie myśl za kim i czemu ganiają.
Ciemny szum, lekkie trzaski, spieszny świst.
Jednym błyskiem, a niejedną stają,
Z tropu w tropy leci gończy list.

Inne były kiedyś gony nasze,
Sięgające w człowieczy cel,
Rozpłynione nie po niskiej łasze —
Całem niebem nad toniel i chmiele!

Ty o swojej bolesnej przemianie,
Naklonionym w życie swoim śnie,
I o myśli, krzepnionej w spełnianie,
Najrodzinniej opowiedz mnie —

Tak. Jest w życiu nasz ból niedowiarczy;
Potem, prawdy żalem kryta nać.
A to wszystko, gdy życia nie starczy
Nam jednego, żeby siebie dać.

Powiedz, dziś, nad ojczyznę twoją głodem
Dawne, wielkie słowa... (Szept i żal).
Więć ramieniem, jeśli wiecznie młodem,
Elektrownia piramidy spali!

Choć upornie wabiłeś marzenie
O mistycznym pojęciu cnót:
W pięknie — doskonałość wyzienie
I cel sztuki widząc, by wznieść lud.

Prawdy się dowiedziałeś: w ucieczce,
Na stacji Ostapowie, w przedśnie;
Zadziwiony spojrzaleś ku steczce:
— „Tylu ludzi—wy. o jednym Lwie?”

Niema ludzi — albo jest za wielu.
Nie ostąpi tłum i żaden las.
A człowiecze sądy, przyjacielu,
Nie obale nie przeizna nas.

Lud wie tylko, że my śpiewający,
Ale jeszcze nie ogląda słów.
Kto wie jednak, może nędzarz drżący
Dziś nas wyda, na wagę głów.

Ot wyje, hallakuje wieś cała,
Jakby w cerkwi klęknął wilczy polk.
Lecz na drodze, co nagle ziemiała,
Nie wiem, czy lepszy człowiek czy wilk?

Duchotwórcy my — do upadłego —
Taką myślą schyleni, bez tchu;
Jednak dzisiaj żołnierski kolego,
Sprzeciwimy się złu.

Przeciw tobie, Lwie dawny, z mogiły;
I choć twardy Puszkina cień,
Jako Jeźdźca Spiżowego bryły,
Skacze gromem w odmieniony dzień:

Choć już w moje ramiona się wpiera,
Metalicznym kopytem, głaz...
My w imieniu Chrysta bohatera!...
Ostaliśmy bez rany i skaz.

Sprzeciwimy się złu, choć samotni.
I wystarczy nasza mocna gra.
Gdy w torfowisk grzęź i w czar paprotni,
Za chłopami nagonka po — szła!

Nawiązane są wąwozy w węzeł;
Rzeki - liszki suną w bór i w błon;
Jakby miota pendzlem tyle przeseł
Leonarda artysty dłoń.

W krajobrazie takim, w niepokoju,
Mknijemy życiem, i aż w ból, aż w los.
Patrzę w ciebie, grafie Lwie Tołstoj,
Tyś odwrócił się i nagle wzrósł

A przed tobą piramida milczy;
Elektrowny, z sztyków świetlnych ront.
Opłacony przez chłopski głód wilczy.
I ty rzucasz! w niego kamień — lepi.

Pod wierzchołek, z którego wyleci,
W stratosferną czern, nad kopuł sklep
Wzdręć całun, skrywający dzieci,
Zmarle, nim w chacie białej był obiek

A ja tobie mówię, patrząc w oczy,
Ze najgorsza właśnie chwila jest.
Gdy już wiemy, jak los się potoczy,
Jak wysnuje myśl, i dźwięknie gest.

Gdy przewidzieć można losy własne,
I wypełniać tylko swoje dni.
A to wszystko, gdy życie za ciasne
Nie wystarczy tobie ani mnie.

Więc do braci naszej idziem silnie,
Za czerwono - zielony stęp;
Co podchodzi sam, cicho, przychylnie;
Już kłoniacy cię do naszych stóp:

Rozłamany w dwa mocne ramiona;
Już, gotowy — krzyżownie nas wziąć.
Ręce kładziem na szorstkie bierwiona,
Aby wznieść się, i cokolwiek bądź —

Wyrzałem za spojrzenie twych oczu, —
Czytelniku, powierzchwni słów.
I widzę! Jeszcze więcej, w otoczu;
I ciebie. Lwie Tolstoju, znów.

Wysoko jest na męce, i mądrze;
Ponad wiorsty szerokie tło.
Tkwiąc w martwego i żywego jądrze,
Poznajemy dobro i zło.

Mówię tobie, ja sprzeciwiony
Wszelkiej złości, aż po życia zczez,
Że, wprost mnie, grają wierzb bujne trzosa—
Chrystus wskrzesi.